



16

Dokąd idzie KOD?



100

Wojna o muzeum wojny

Tematy tygodnia

- 12 Juliusz Ćwieluch, Anna Dąbrowska, Malwina Dziedzic
Misiewicz, Macierewicz, Kaczyński
16 Joanna Sawicka, Wojciech Szacki
Czy KOD odżyje

Polityka

- 18 Rafał Kalukin
Zmierzc smoleńskiego mitu
20 Ewa Siedlecka
PiS bierze się za organizację porządku
23 ROZMOWA ŻAKOWSKIEGO
Z prof. **Janem Zielonką** o tym, jak populizm zmienia dzisiejszą demokrację

Społeczeństwo

- 26 Joanna Cieśla
Kuratorzy nowej władzy
29 Dionisios Sturis, autor książki „Nowe życie. Jak Polacy pomogli uchodźcom z Grecji”, o tym, dlaczego staliśmy się ksenofobami
32 Piotr Pytlakowski
Grillowanie sędziego Łączewskiego
34 Agnieszka Sowa
Zabójcy z sąsiedztwa

Rynek

- 36 Ryszarda Socha
Stocznie lepsze i gorsze sortu
39 Andrzej Lubowski
Trump stracił na zdrowiu

Świat

- 42 Patrycja Sasnal **BLISKI WSCHÓD**
Dojrzeła kolejna arabska rewolta
45 Marek Ostrowski **FRANCJA**
Gej poprawia wizerunek Marine Le Pen
48 Rozmowa z **Nealem Aschersonem** o tym, czy Szkocja wyjdzie ze Zjednoczonego Królestwa

Historia

- 50 Magdalena Semczyszyn
Jak Żydzi uciekali z PRL
53 Tomasz Targański
Junta czarnych pułkowników

Nauka

- 56 **Dr Andrzej Śliwerski** o tym, jak nierzetelne testy psychologiczne mogą krzywdzić ludzi
59 Agnieszka Krzezińska
Archeolog w kopalni
62 Jędrzej Winiński
O czym myślą ptaki
63 TECHNOECHO

Kultura

- 68 Piotr Sarzyński
Nagroda Architektoniczna POLITYKI – wielka piątka
72 Mariusz Herma
Polska muzyka eksportowa
75 Mea Pulpka **Kuby Wojewódzkiego**
76 Jan M. Długosz **Gwiezdny łotr**
78 Justyna Szklarczyk
Gianni Rodari i jego bajki – czyli jak o poważnych sprawach opowiadać dzieciom

Ludzie i style

- 88 Michał R. Wiśniewski
Japońskie idolki
92 Joanna Cieśla
Jak się sędziuje snookera
Na własne oczy
100 Edwin Bendyk
fotografie Krzysztof Mystkowski/KFP
Muzeum II Wojny Światowej – takiej wystawy jeszcze nie było

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 64 Afisz • 94 Passent • 96 Hartman
- 97 Tym • 98 Do i od redakcji
- 99 Fusy, plusy i minusy
- 106 Polityka i obyczaje

UWAGA CZYTELNICY!

Kolejny – podwójny – numer **POLITYKI** na majówkę ukaże się

W ŚRODĘ

26
kwietnia

i będzie na rynku do 9 maja.



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Narodowe centrum bajki

Po decyzjach podjętych na najwyższych szczeblach jesteśmy właśnie świadkami zmierzchu karier dwóch znanych postaci. Chodzi mi o B. Misiewicza i K. Matołka, z tym że o ile kroki wygaszające karierę tego pierwszego opisują wszystkie media, a prezes PiS wydał w jego sprawie specjalne oświadczenie, o tyle szykany wobec drugiego odbywają się po cichu, a prezes o sprawie milczy, dając powody do najrozmaitszych spekulacji. „Gazeta Wyborcza” informuje, że resort wicepremiera Glińskiego odmówił finansowego wsparcia Międzynarodowemu Festiwalowi Kultury Dziecięcej organizowanemu przez Europejskie Centrum Bajki im. K. Matołka. W trakcie imprezy miało dojść do hucznego świętowania urodzin koziołka. Niestety, jak twierdzi dziennik, komentując brak dofinansowania, „minister Gliński nie lubi Matołka”. Jak wiadomo Misiewicz także stracił państwowe dofinansowanie, z tym że o ile powody zaprzestania finansowania B. Misiewicza są ogólnie znane, o tyle zupełnie nie wiadomo, co Gliński ma przeciwko K. Matołkowi. Może Gliński, który jest profesorem, nie chce dotować osoby nieposiadającej odpowiedniego wykształcenia? Nie można też wykluczyć, że Gliński K. Matołkowi zazdrości, że ten jest w polskiej

kulturze postacią ważniejszą od niego i że wiele dzieci i osób dorosłych traktuje K. Matołka poważnie, a jego – nie.

Ja rozumiem, że swoją uprzywilejowaną pozycję K. Matolek zawdzięcza m.in. opresyjnemu peerelowskiemu systemowi edukacyjnemu, który wciskał go dzieciom na bohatera w zastępstwie prawdziwych bohaterów, o których istnieniu dowiedzieliśmy się dopiero po nastaniu obecnej władzy. Rozumiem, że wicepremierowi Glińskiemu może się nie podobać, że ten niepodkuty przyglup bez dorobku naukowego, któremu prezes Kaczyński prawdopodobnie nigdy nie zaproponowałby kandydowania na premiera rządu technicznego, jest popularny, lubiany i ma centrum swojego imienia, a on – nie. Z tym że nie uważam, by wicepremier Gliński z tego powodu powinien się na K. Matołkę mścić, wstrzymując finansowanie jego urodzin.

Mam jednak cichą nadzieję, że wicepremier osobiście do K. Matołka nic nie ma, a wspierania Europejskiego Centrum Bajki jego imienia odmawia jako patriota z tego powodu, że jest europejskie. Ale jeśli tak, to niech po prostu przemianuje je na Centrum Narodowe, w którym zamiast tradycyjnych europejskich bajek będą popularyzowane bajki opowiadane przez niego i innych autorów dotowanych przez władze. A jeśli obecna dyrekcja placówki miałaby coś przeciwko, zawsze można się jej pozbyć, wydając decyzję o połączeniu Centrum Bajki z Muzeum II Wojny Światowej i Muzeum Westerplatte.



Możesz spać spokojnie, kiedy my dbamy o czystość powietrza.

Powietrze wokół nas ma ogromny wpływ na nasze codzienne życie. Ostatnie badania wykazały, że zanieczyszczenie powietrza może zwiększyć ryzyko wystąpienia zaburzeń oddychania podczas snu, które z kolei mogą prowadzić do problemów ze snem.

Nasze katalizatory czystego powietrza ograniczają emisję szkodliwych substancji z samochodów i zakładów przemysłowych do atmosfery.

Ludzie nie mają problemów ze snem przez zanieczyszczone powietrze, ponieważ w BASF tworzymy chemię.

Jeżeli podzielasz naszą wizję,
wejdź na stronę wecreatechemistry.com

Kup książkę

 **BASF**
We create chemistry

Rollercoaster



Jerzy Baczyński

Już niedługo minie półtora roku, odkąd partia o nazwie Prawo i Sprawiedliwość zaprosiła nas do swojego wesołego miasteczka na rollercoaster. I jedziemy – w górę i w dół, na wprost i do góry nogami, od grozy do histerycznego śmiechu. Część pasażerów wciąż ma frajdę, ale większości robi się już niedobrze. Zwłaszcza że wygląda, jakby kolejka przyspieszała. Niestety, prośbę państwa, wysiąść nie można, bo bilet został wykupiony na cztery lata. I albo wcześniej zatną się kółka i to szaleństwo zwolni, albo całą przeciążoną konstrukcję szlag trafi i będzie piękna katastrofa.

Tegotygodniowe zapiski z podróży rollercoasterem zacząć trzeba w punkcie grozy. Projekt ustawy dającej ministrowi sprawiedliwości Zbigniewowi Ziobrze pełnię władzy nad prezesami sądów wszystkich instancji (s. 8) jest równoznaczny – jak zgodnie mówi niemal całe środowisko prawnicze – z likwidacją w Polsce niezależnego sądownictwa. Nie chodzi tu o jakieś subtelności organizacyjne czy kompetencyjne, o których można by dyskutować; ten projekt w ogóle nie zmierza do żadnego usprawnienia sądów; cel jest jasny jak wybuch bomby termobarycznej – władza, kiedy będzie potrzebowała, chce mieć wpływ na treść wydawanych wyroków. Tyle. I daje sobie narzędzia, żeby to wyegzekwować. Ale jawne łamanie konstytucji ma także pewien dodatkowy mroczny aspekt. To sposób rozprawiania się ze, stawiającym opór, środowiskiem sędziowskim przy pomocy służb specjalnych. Mamy tu przykład, jak działa, opisywany przez nas jeszcze na etapie projektowania, „ciąg technologiczny” pisowskiej władzy.

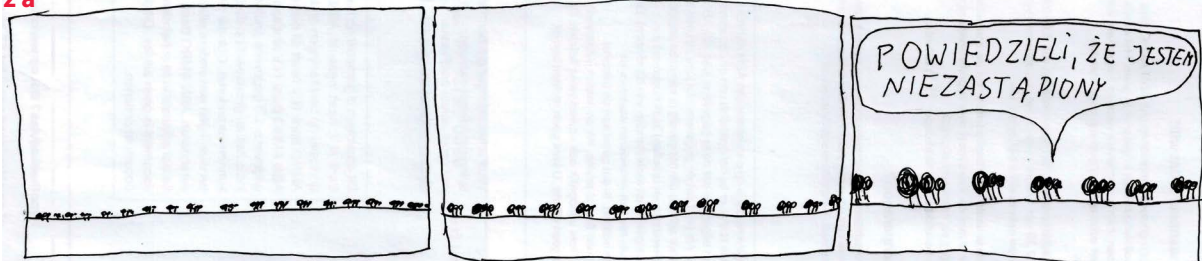
W tym numerze wracamy do historii sędziego Łączewskiego (to ten, który niegdyś skazał na więzienie dzisiejszego szefa służb Mariusza Kamińskiego). Ileż wokół niego tajemniczych zdarzeń, incydentów, prowokacji, prób zastraszania. Albo, opisywany przez nas niedawno, przypadek innego, wyjątkowo uprzykrzonego dla władzy, sędziego, rzecznika KRS Waldemara Żurka? Ponieważ nie można go było dopaść ani od strony deliktów służbowych, ani lustracyjnych (bo za młody), CBA zupełnie otwarcie zabrała się za przeczesywanie jego spraw osobistych. Zgodnie z konstrukcją ciągu technologicznego każde znalezisko (np. skomplikowane sprawy alimentacyjne; teraz jakieś nieścisłości w oświadczeniach majątkowych) od razu trafiało do „Wiadomości” TVP i tabloidów, z obowiązkowym komentarzem o ogólnej patologii korporacji sędziowskiej, a sędziego Żurka w szczególności. Za moment podobny mechanizm może wciągnąć każdego.

Pis tak zmienił prawo, iż służby specjalne – tysiące funkcjonariuszy – znalazły się praktycznie poza jakąkolwiek zewnętrzną kontrolą. W tej sytuacji trzeba, niestety, założyć, że setki agentów zajmują się dziś rozpracowywaniem wrogów władzy i szukaniem, jak mówiło się w czasach sowieckich – „kompromatów”. A minister sprawiedliwości, jako prokurator generalny, przyznał sobie prawo swobodnego podejmowania śledztw i ujawniania dowolnych materiałów. Warto przypomnieć, jak niedawno dobierano się do organizacji pozarządowych, ogłaszając jakieś rzekome porażające sieci powiązań, z czego poza pomówieniami i planem ograniczenia ich aktywności (czytaj s. 20) nic się nie ostało. Do domknięcia ciągu technologicznego, który pozwoli na rozprawianie się z wrogimi jednostkami i środowiskami, dziś brakuje jeszcze dyspozycyjnych sędziów. Widzimy, że ten moduł jest właśnie dokładany, pytanie tylko, czy władza naprawdę zamierza przekroczyć czerwoną linię oddzielającą groźby od czynów? I czy sama wcześniej się nie skłóci, poróżni, zapłaci we własne sieci ambicji, urazów, interesów, lęków? Bo groza tej władzy jest organicznie spleciona z jej rozgorączkowaniem, chaotycznością, jakąś niepowagą.

To znakomicie widać w tzw. aferze Misiewicza. Zajmujemy się nią obszerniej (s. 12), bo przy całej komiczności występujących tu postaci i wygłaszanych przez nie kwestii (jedna z najśmieszniejszych: „Pani premier uważa, że zachowanie pana Misiewicza było naganne i wymaga potępienia” – rzecznik rządu) mamy do czynienia z bardzo poważnym kryzysem państwa PiS. Jakikolwiek będzie tymczasowe rozwiązanie – od wyciszenia sprawy do dymisji Macierewicza – zapowiada się wojna na górze. Macierewicz, drwiąc tyle czasu z połajaneł Kaczyńskiego albo wiedział, co robi, i był gotów na konfrontację z partyjnymi rywalami (a nawet z samym prezesem), albo jest nieobliczalnym politycznym amatorem i zadufkiem. W obu przypadkach będzie ciąg dalszy kryzysu. Wariant, że Macierewicz przełknie krzywdę swojego złotego chłopca (który otrzymał jakiś nielegalny „wilczy bilet”), rozpad budowanego z nadęciem autorytetu „naczelnego wodza”, podszczypywania ze strony Andrzeja Dudy, kpiny części pravicowych mediów i inne publiczne upokorzenia, wydaje się mało realny. Towarzystwo biorące udział w tej rozgrywce wielokrotnie demonstrowało swoją pamiętliwość i mściwość. Więc gra się raczej musi rozegrać. W każdym razie coś już pękło, coś się skończyło: naruszona została główna oś partii, Kaczyński–Macierewicz.

Ale rollercoaster nadal mknie, szurając podwiniętą ośką. Kiedy Ziobro szykuje się do przejścia sądów, gdzieś na poligonie komisja państwowa – ta sama, która na samochodzie pędzącym po lotnisku chciała zamocować brzozę – podkłada bombę pod blaszany barak z namalowanymi oknami; minister Macierewicz wystawia uroczyste spiżowe popiersie Lecha Kaczyńskiego, jak się okazuje obwoźne, które może być przetaczane w miarę potrzeb; na Nowogrodzkiej w kolejce do prezesa znowu stukają się rozgrywcę wielokrotnie demonstrowało swoją pamiętliwość i mściwość. Więc gra się raczej musi rozegrać. W każdym razie coś już pękło, coś się skończyło: naruszona została główna oś partii, Kaczyński–Macierewicz.

Jan Koza



© JAN KOZA

Operacja „dopaść Tuska”

Jakikolwiek wyrok dla Donalda Tuska, choćby za „przekroczenia uprawnień i obowiązków służbowych”, byłby sukcesem PiS i zależny od partii prokuratury.

Mózgiem operacji przeciw Donaldowi Tuskowi są ludzie szefa MON, któremu podlega częściowo wojskowa sekcja prokuratury. To właśnie śledczy w mundurach prowadzą sprawę, w której jednym ze świadków jest szef Rady Europejskiej. Być może nawet usłyszy zarzuty.

Sprawa dotyczy rzekomo nielegalnej współpracy polskiej Służby Kontrwywiadu Wojskowego z rosyjską Federalną Służbą Bezpieczeństwa. Podejrzani są trzej szefowie SKW z czasów PO. Obie służby pod koniec 2013 r. podpisały umowę o kooperacji, ale do jej realizacji nie doszło – Polacy wycofali się po aneksji Krymu.

Z ust samego Macierewicza od dawna można jednak usłyszeć, że SKW nielegalnie współpracowała z FSB, a Tusk to zaaprobował, naruszając prawo. Dlaczego? Bo wydając zgodę na zawarcie przez obie służby umowy o współpracy, nie poprosił o opinię ministra obrony (nakazuje to ustawa o SKW w art. 9, choć opinia szefa MON nie jest wiążąca dla premiera, nie musi być nawet sformułowana pisemnie).

Paradoksalnie, zarzut, który ciąży na byłych szefach kontrwywiadu i który może objąć szefa Rady Europejskiej, nie dotyczy bezpieczeństwa państwa, ale przekroczenia uprawnień i obowiązków służbowych, czego skutkiem jest szkoda wyrządzona interesowi publicznemu (art. 231 par. 1 Kodeksu karnego) i to jeszcze w celu osiągnięcia korzyści (art. 231 par. 2 kk). Ale o jakie szkody i korzyści chodzi – nie wiadomo. Śledztwo zostało objęte tajemnicą. Prowadzi je prokurator Jan Zarosa. To on formalnie zdecyduje o tym, czy stawiać zarzuty Donaldowi Tuskowi.

45-letni pułkownik jest przykładem szybkiej kariery człowieka z zaciągu szefa MON. Do nastania „dobrej zmiany” Zarosa, urodzony na lubelskiej prowincji prawnik, pracował w Wojskowej Prokuraturze Garnizonowej w Lublinie. Jeszcze jako kapitan zajmował się dość błahymi sprawami, typu poniżanie żołnierzy z poboru przez przełożonego czy wykorzystywanie samochodów służbowych dowódców do celów prywatnych. Teraz płk Zarosa dobrze pilnuje sprawy, choć pełnym zaufaniem raczej się nie cieszy – w przesłuchaniach uczestniczy zwykle oficer z działu prawnego SKW, która dokładnie sprawozdaje ich przebieg.

Zarosa do niedawna zajmował twarde stanowisko – na przykład nie dopuszczał obrońców byłych szefów SKW do udziału w przesłuchaniach świadków czy nie zezwalał na składanie wniosków dowodowych. Ostatnio jednak jakby zmieł – zgodził się na udział pełnomocnika w przesłuchaniu Tuska. Niektórzy upatrują w tym przejawu słabnącej pozycji Antoniego Macierewicza kosztem Zbigniewa Ziobry.

Ale nie wszystko spoczywa na barkach prokuratora Zarosy. Nad tym, by śledztwa miały przebieg taki, jakiego by sobie życzył szef MON, czuwa Waldemar Puławski, czyli zastępca prokuratora generalnego do spraw wojskowych. Stanowisko dostał w maju 2016 r., po włączeniu wojskowej prokuratury do cywilnej. Wcześniej, będąc szefem kadr MON, jako jeden z zaufanych ludzi Antoniego Macierewicza pomagał mu pozbywać się najbardziej niewygodnych oficerów.

60-letni Puławski ma interesującą przeszłość. To kolejna osoba z kręgu PiS, która ma za sobą pracę w peerelowskim aparacie państwowym – od 1984 r. pracował w warszawskiej prokuraturze, awansując w styczniu 1988 r. na stanowisko szefa „rejonówki” na Pradze Południe. Po 1989 r. został członkiem komisji do spraw przeglądu kadr w prokuraturze, mającej weryfikować śledczych pod kątem ich przydatności dla III RP. Z prokuratury i z komisji odszedł w 1992 r. Stał się znany na początku poprzedniej dekady, gdy został obrońcą Haliny G. „Inki”, skazanej na osiem lat więzienia



© AA/ABACA/EAST NEWS

za pomoc w zabójstwie Jacka Dębskiego, ministra sportu w rządzie AWS. Warszawski adwokat z wieloletnią praktyką wspomina, że Puławski ani wtedy, ani zresztą nigdy potem nie był znanym, rozpoznawalnym przedstawicielem stołecznej palestry. Miał za to opinię człowieka związanego z ludźmi służb specjalnych.

Jak to się stało, że adwokat, w którego życiorysie trudno znaleźć związki z PiS i Antonim Macierewiczem, wskoczył na tak ważne stanowisko? Puławski reprezentował związanego z prawicą dziennikarza Wojciecha Sumlińskiego, którego prokuratura oskarżyła o płatną protekcję – Sumliński miał w 2006 r. z byłym oficerem wojskowych służb oferować weryfikowanym żołnierzom WSI pozytywne rozstrzygnięcia ich spraw. Po trwającym kilka lat procesie sąd w 2016 r. prawomocnie uniewinnił go z zarzutów. Kilka dni przed wyborami parlamentarnymi w 2015 r. Puławski udzielił wywiadu w Polityce.pl, w którym ogłosił, że Sumliński był tak naprawdę tylko „figurantem operacji skierowanej przeciwko Antoniemu Macierewiczowi”, co dowodzi słabości wymiaru sprawiedliwości. Jego „uzdrowienia” mógłby zaś dokonać jedynie PiS i to tylko wtedy, gdy będzie rządzić samodzielnie.

W przypadku sprawy byłych szefów SKW i przesłuchania Tuska wiadać doskonale, na czym polega to „uzdrowianie”. To, za co były premier mógłby ewentualnie odpowiadać, czyli niedopełnienie obowiązków, przedawniło się pod koniec ubiegłego roku. Ale przecież zarówno w tym przypadku, jak i w innych sprawach, do których dołączany jest były premier, nie chodzi o to, by go złapać, tylko o to, by jak najdłużej gonić. Zawsze istnieje przecież ewentualność, że uciekając, potknie się i przewróci. Choćby wizerunkowo.

GRZEGORZ RZECZKOWSKI

KOMENTARZ

Komu bije dzwon



Marek Ostrowski

Forsując kolejne projekty ustaw, PiS chce ostatecznie zlikwidować niezależność sądów i niezawisłość sędziów oraz dać rządowi prawo do mianowania, awansowania i relegowania sędziów. Choć to śmiertelne zagrożenie dla demokracji i bezpiecznego życia obywateli – w opinii społecznej nie ma żadnego larum, nie mówiąc już o demonstacjach protestu. Dlaczego? Ani sądy, ani sędziowie nie mają – niestety – wielkiego w Polsce autorytetu i poważania, co ułatwia pisowcom likwidację ustroju opartego na podziale władz. Taki jest stan rzeczy ze względu na przewlekłość procesów, często absurdalny formalizm procedury i wyroków. Dawne raporty „Quo vadis iustitia?” czy „Przyszłość polskiego wymiaru sprawiedliwości” (pod redakcją Adama Zielińskiego i Marka Zubika) referowała POLITYKA, która też wydała książkę niżej podpisanego „Teatr sprawiedliwości”.

Sprawdźmy te tysiące stron do dwóch pytań: dlaczego skazanie Bernarda Madoffa (13 tys. poszkodowanych, dziesiątki miliardów dolarów strat) razem ze śledztwem zabrało pół roku, a sprawa Marcina Plichty z Amber Gold, oszusta dużo mniejszego kalibru – przez pięć lat nie wyszła z lasu? I dlaczego w Polsce w sądach jest 16 mln spraw rocznie? Ponad rozsądek i siły sądów?

To nie wina sędziów. Nestor polskich procesualistów prof. Stanisław Waltoś poświęcił całą pracę legalnym sposobom przewlekania procesów: rzadko sędziowie są winni, jeżeli już to uleganiu formalnej poprawności, którą zresztą cały system premuje. Nie sędziowie są też winni niskiej kulturze prawnej w społeczeństwie ani zacietrzewieniu, którego sam PiS jest smutnym wzorem. Dowód choćby taki: w Polsce nie udaje się mediacja, która mogłaby odciążyć sądy z części spraw. Nie odpowiadają też za techniczne wyposażenie sądów, za konstrukcje prawa i procedur. W ogóle sędziowie w sprawie funkcjonowania sądownictwa mają niewiele do powiedzenia, choć byłoby najlepiej, żeby to ich reprezentacja miała tu głos decydujący. Ale pamiętacie, jaki był krzyk oburzenia PiS, kiedy sędzia Andrzej Rzepliński uczestniczył w przygotowywaniu ustawy o funkcjonowaniu Trybunału Konstytucyjnego? Krajowa Rada Sądownictwa nie ma nawet inicjatywy ustawodawczej. Za kształt prawa i organiza-

cję sądów odpowiedzialni są nie sędziowie, ale politycy; ministrowie sprawiedliwości na ogół głoszą, że muszą kierować, bo ponoszą odpowiedzialność polityczną, ale czy kiedykolwiek jakiś minister poniósł taką odpowiedzialność?

Sędziowie nie są – jak głosi zjadliwa propaganda PiS – jakąś skorumpowaną kastą. To argument bardzo niesprawiedliwy. Na prawie 10 tys. pracujących w zawodzie – odnotowano pojedyncze przypadki korupcji. Wystarczyło to za pretekst do wzięcia się za „kastę”. Wytykaną czasem słusznie arogancję i brak kultury na rozprawach ograniczałyby ciągle ich filmowanie; KRS to postulowała. Zresztą środowisko prawnicze proponowało i wciąż proponuje wiele usprawnień procesu wymiaru sprawiedliwości. To, co robi PiS, nie jest żadną reformą, żadną naprawą. Przeciwnie: to dewastacja, do wszystkich bolączek dochodzi jeszcze upolitycznienie.

Dlaczego niezależny sędzia jest tak ważny? Bo do niego się odwołujemy w razie krzywdy. PiS, nawet nie starając się o kamuflaż, chce wybór, nominacje i kariery sędziów powierzyć decyzjom władzy politycznej, decyzjom ministra i rządu, faktycznie – partii. A jak będziemy się skarżyć właśnie na administrację, na rząd i jego organy, na nadużycia władzy, łamanie naszych praw? Śpijcie spokojnie obywatele! Pan Ziobro zadba o dobór sędziów. Partii prawo i partii sprawiedliwość.

KOMENTARZ

Bronimy morowego powietrza



Adam Grzeszak

Kto wątpi, że rządowi Beaty Szydło odpowiadałby Polexit, dowody znajdzie w obszarze polityki środowiskowej. W żadnym innym Polska nie jest w takiej opozycji do Unii Europejskiej. Węgla samotnie bronimy jak niepodległości, bo to nasze czarne złoto. Sprzeciwiamy się ograniczeniom emisji CO₂ i zanieczyszczeń, bo nasz przemysł i energetyka produkują ich w nadmiarze. Bóg powiedział przecież „czyńcie sobie ziemię poddaną” – wyjaśnia minister środowiska Jan Szyszko. Dlatego zaskarżył do Trybunału Sprawiedliwości (ETS) dyrektywę o limitach głównych źródeł zanieczyszczeń powietrza. Chodzi o zmniejszenie emisji dwutlenku siarki, tlenków azotu, amoniaku, drobnych

cząstek stałych i niemetanowych lotnych związków organicznych. Czyli współczesnego morowego powietrza, które dusi i zabija tysiące ludzi. Dobrze poznaliśmy to w czasie tegorocznej zimy. Normy ustalone przez WHO były przekraczane wielokrotnie, a rekord – o ironio – padł w Brzeszczach, rodzinnej gminie pani premier.

Dyrektywa nakłada obowiązek redukcji emisji o 25 proc. w latach 2020–29 w przemyśle, ruchu drogowym, energetyce i rolnictwie. Musi się to się wiązać m.in. z radykalną zmianą sposobu ogrzewania domów. Polski rząd uważa, że to niesprawiedliwe, bo statystyczny Polak na realizację tej dyrektywy będzie musiał wydać rocznie 15 euro, podczas gdy bogaty Holender, który korzysta z czystej energii, zapłaci tylko 1,3 euro. Skarga Szyszki skierowana do ETS (nie pierwsza zresztą) dotyczy też sposobu przyjęcia dyrektywy. Polska chce dowiedzieć, że w takich sprawach powinna decydować jednomyślność. Upominamy się o prawo weta, korzystalibyśmy z niego na okrągło.

Szykuje się kolejna zwycięska porażka. Taka, jakiej doświadczyła właśnie Bułgaria, pozwana przez Komisję Europejską za naruszenia przepisów dyrektywy o czystym powietrzu CAFE (chodzi o stężenia pyłów).

Polska wspierała Bułgarię, bo Komisja pozwalała także i nas za to, że przepisy CAFE, które wprowadziliśmy pod groźbą trybunału, pozostają w dużym stopniu martwe. Zimą, kiedy nad Polską zawisł smog i wszyscy wstrzymali oddech, pojawił się projekt przepisów określający wymagania dotyczące jakości kotłów i używanego doń węgla. Mały krok w dobrą stronę. Ale wiosną zapał zmałał i projekt pójdzie pewnie do szafy. Bo narusza interesy górnictwa.

Minister środowiska przekonuje, żeby nie dramatyzować. Utrzymuje, że powodem smogu jest zapylenie naturalne. Norm skażenia powietrza (jednych z najwyższych w Europie) nie należy obniżać, bo będziemy mieli permanentny alarm smogowy. Po co się denerwować? Uważa też, że dwutlenek węgla jest bardzo korzystny dla przyrody, bo wzmacnia roślinność. Dlatego promuje tworzenie leśnych gospodarstw węglowych. To plantacje drzew, które mają rosnąć jak na drożdżach dzięki wchłanianiu CO₂, bo i leśnicy mają wspierać górników.

Szyszko przejdzie do historii jako pogromca Puszczy Białowieskiej, sprawca dzikiej wycinki drzew, myśliwskiego lobbingu, walki z zieloną energetyką, a na dodatek wróg czystego powietrza. Taki kornik drukarz polskiego środowiska naturalnego.



Poniżone państwo

Mechanizmy, które funkcjonowały w życiu publicznym w PRL, a w szczególności w PZPR, powróciły. Gdy pragnie się robić karierę i awansować, nie można kwestionować linii partii. Dotyczy to nie tylko rządzącego ugrupowania, ale także struktur państwowych, gdyż nasze państwo stało się łupem partyjnym.

Gdy w listopadzie 2015 r. poznałem skład rządu Prawa i Sprawiedliwości, uznałem, że od tej pory nic nie powinno mnie już zdziwić w poczynaniach tego ugrupowania. PiS wrócił do władzy w wersji „hard”, z niemałą domieszką szaleństwa. A jednak zostałem zaskoczony, gdy 10 kwietnia – w siódmą rocznicę katastrofy smoleńskiej – „eksperti” powołani przez Antoniego Macierewicza, występujący jako podkomisja do spraw zbadania przyczyn katastrofy, w trakcie uroczystego spotkania z udziałem Jarosława Kaczyńskiego w Wojskowej Akademii Technicznej ogłosili, że bezpośrednią przyczyną tragedii był wybuch bomby termobarycznej. Zwłaszcza po niedawnej konferencji prokuratury, przedstawiającej aktualny stan smoleńskiego śledztwa, wydawało się, że w obozie rządzącym postawiono na tzw. grę na czas. Taka strategia pozwalałaby utrzymywać w społeczeństwie podział w sprawie przyczyn katastrofy – trwałyby trauma rodzin i bliskich ofiar, ale „lud smoleński”, stanowiący bardzo ważną część zwolenników PiS, pozostawałby w stanie mobilizacji.

Stało się inaczej. Ogłoszono, że polska delegacja z prezydentem Lechem Kaczyńskim na czele padła – prawie na pewno – ofiarą zamachu i niedwuznacznie wskazano na odpowiedzialność Rosjan. W sprawie Smoleńska zwyciężyło w PiS stanowisko najbardziej skrajne, od lat reprezentowane przez Antoniego Macierewicza. Jest oczywiste, że ostateczną decyzję w tej sprawie musiał jednak podjąć Jarosław Kaczyński.

Wydawałoby się, że nastąpiło wydarzenie wielkiej wagi. Jeśli Rosja z premedytacją doprowadziła do śmierci polskiej elity, Polska powinna zerwać z nią stosunki dyplomatyczne. To minimum. Można byłoby oczekiwać ostrego dementi strony rosyjskiej, a także wyrazów oburzenia i solidarności z Polską ze strony naszych partnerów z NATO i Unii Europejskiej. W światowych mediach powinny pojawić się obszerne relacje o rewelacjach, które napłynęły z Warszawy. Żaden z tych faktów nie nastąpił. Dlaczego?

Odpowiedź jest prosta. Rewelacje „ekspertów” ministra Antoniego Macierewicza nie są traktowane serio. Nie tylko za granicą. Brak stanowczych kroków polskiego rządu wobec Rosji dowodzi, że także on zachowuje dystans wobec rzekomych ustaleń podkomisji smoleńskiej. Czy mamy więc do czynienia z wydarzeniem bez znaczenia?

Niestety, tak nie jest. Antoni Macierewicz jest konstytucyjnym ministrem polskiego rządu i szefem jednego z kluczowych resortów. Podkomisja smoleńska działa w imieniu polskiego państwa. Nieodpowiedzialne poczynania ministra i podkomisji nie tylko obniżają autorytet naszego państwa, ale zwyczajnie je ośmieszają. Pogłębiają także przepaść dzielącą Polaków.

Nie wiem, czy Jarosław Kaczyński i Antoni Macierewicz wierzą w zamach, czy też traktują tezę o zamachu przede wszystkim jako polityczny oręż w walce o władzę i jej utrzymanie. Więcej wskazuje na tę drugą ewentualność. Jednak bez względu na intencje reżyserów przedstawienia, ważne są jego skutki: dramatyczny podział naszej wspólnoty narodowej i poniżenie państwa.

Szanujące się państwo dba o ciągłość swych poczynañ. PiS, sprawując władzę, demoluje dorobek poprzedników i zachowuje się tak, jakby opanował wrogie państwo, w którym wszystko trzeba zmienić. Jak w soczewce widać to zjawisko w sprawie ustalania przyczyn katastrofy smoleńskiej. Rządowa komisja kierowana przez ministra Jerzego Millera, składająca się z fachowców wysokiej klasy, ustaliła jej przyczyny. A dobiegające końca śledztwo Prokuratury Wojskowej przynosiło konkluzje zgodne z ustaleniami tejże komisji. Cały ten dorobek został jednak unieważniony przez nową władzę. Prokuratorów wojskowych zastąpili nowi prokuratorzy, całkowicie uzależnieni od prokuratora generalnego, którego polityczny los jest z kolei całkowicie uzależniony od Jarosława Kaczyńskiego. Kompetentnych ekspertów ministra Millera zastąpili doskonale opłacani amatorzy – w pełni jednak świadomi oczekiwañ ich mocodawcy, czyli ministra obrony narodowej.

Ponowne badanie przyczyn katastrofy smoleńskiej stwarza dobrą okazję do obserwowania, jak zachowują się politycy partii rządzącej, a także ludzie funkcjonujący w strukturach rządowych w państwie znajdującym się na drodze do autorytaryzmu. Teza o zamachu smoleńskim ma wielu autentycznych zwolenników wśród wyborców PiS. Nie mam jednak wątpliwości, że wśród polityków rządzącego ugrupowania stanowią oni znikomą mniejszość. Jestem przekonany, że nie wierzą w nią ani prezydent Duda, ani premier Szydło. Dobrze pamiętam, jak ironicznie o tej tezie wypowiadał się Jacek Kurski, gdy był politykiem partii Ziołbry i pozostawał w konflikcie z PiS. Teraz dyryguje w telewizji rządowej kampanią propagandową, wmawiającą nam, że pod Smoleńskiem nastąpił zbrodniczy zamach.

Gdy patrzę na cyniczny uśmieszek Ryszarda Czarneckiego wypowiadającego się na temat Smoleńska, ani przez chwilę nie mam wątpliwości, że nie wierzy w zbrodnię. Co sprawia, że ludzie mówią rzeczy, w które nie wierzą, albo starannie dobierają słowa, aby nie można zarzucić im, że wykluczają absurdalną tezę? Starsi z nas doskonale pamiętają te mechanizmy, gdyż funkcjonowały one w życiu publicznym w PRL, w szczególności w PZPR. Gdy pragnie się robić karierę i awansować, nie można kwestionować linii partii. Ten model powrócił nie tylko w rządzącym ugrupowaniu, ale także w strukturach państwowych, gdyż nasze państwo stało się łupem partyjnym.

Nie do pozazdrośczenia jest sytuacja urzędników pracujących w administracji rządowej, prokuratorów i wojskowych. Nie każdy gotów jest rzucić pracę czy służbę. Wielu z tych, którzy pozostają na swoich stanowiskach, skazanych jest na konflikt sumienia. Łamać są ich charaktery. „Dobra zmiana” ogarnia nowe obszary, a wraz z nią postępuje proces psucia, upokarzania i ośmieszania państwa.

Najnowszy spór o osobę Bartłomieja Misiewicza to oczywiście próba sił na szczytach władzy. Znając charakter Jarosława Kaczyńskiego i Antoniego Macierewicza, nie sądzę, aby mogła się ona zakończyć zawarciem trwałego pokoju między obu panami. Nie jest to zła wiadomość.

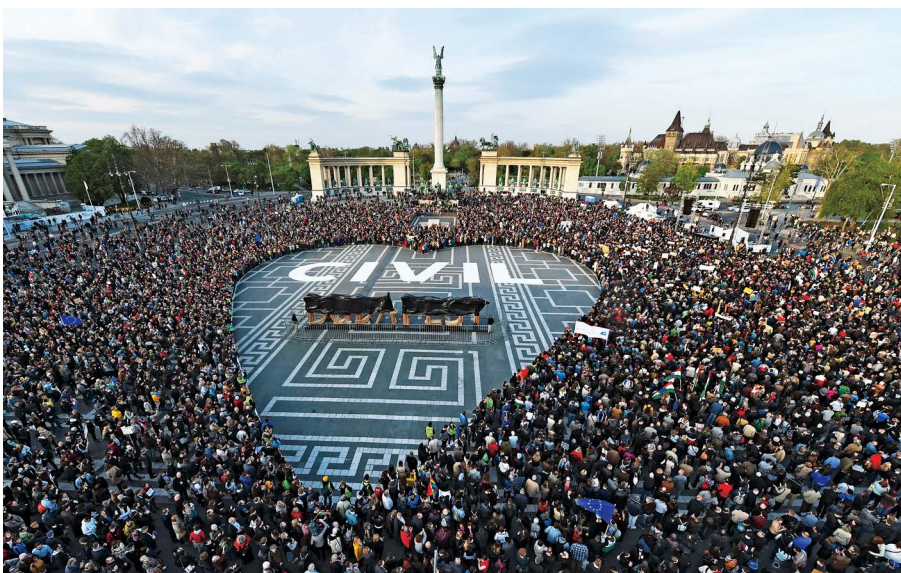
Trump odkochał się w Rosji

Wizyta Rexa Tillersona w Moskwie nie pozostawiła wątpliwości: zamiast sielanki w stosunkach między USA a Rosją, którą miała przynieść prezydentura Trumpa, mamy nową zimną wojnę. Apele sekretarza stanu do prezydenta Putina i ministra Ławrowa, aby porzucili swego przyjaciela Asada, spotkały się z przewidywalną odmową i pogrozkami, że w razie następnych amerykańskich bombardowań w Syrii Rosja nie pozostanie bierna. W tym samym czasie Trump poszedł jeszcze dalej niż jego najbliżsi współpracownicy, według których nie ma dowodów, by Rosjanie w Syrii wiedzieli zawczasu o ataku gazowym na cywilów. Powiedział, że to „nieprawdopodobne”, nazwał Asada „zwierzęciem” i rozwiódł



Sekretarz stanu Rex Tillerson i Siergiej Ławrow, minister spraw zagranicznych Rosji

się nad wielkim znaczeniem NATO – sojuszu, który niedawno nazywał „przestarzałym”. Wolta Trumpa potwierdza, że w amerykańskiej polityce wobec Rosji muszą się w ostatecznym rozrachunku liczyć interesy i cele USA – zasadniczo sprzeczne z interesami i celami Moskwy. Powrót tej polityki w tradycję, utarte koleiny jest zasługą jego doradców z republikańskiego establishmentu, przeważających nad rzecznikami odwrócenia się Ameryki od świata, w rodzaju Steve’a Bannona, który był przeciwny użyciu rakiet w Syrii. Strategii w sprawie Bliskiego Wschodu jeszcze nie ma, ale nie wymagamy za wiele od administracji, która rządzi dopiero 100 dni i w której ścierają się przeciwstawne nurty. Rosja tymczasem wciąż ma nadzieję na obłaskawienie Trumpa, bo przecież nie będzie miała lepszego, ze swojego punktu widzenia, prezydenta USA.



Bunt armii Sorosa

Masowy protest na placu Bohaterów w Budapeszcie przeciw zmianom w prawie forsowanym przez Orbána

O ataku na Uniwersytet Środkowoeuropejski (CEU) plotkowano już od jesieni, kiedy Orbán dał sygnał do rozprawienia się z instytucjami niezależnymi od rządu. Doprowadził do zamknięcia dziennika opozycyjnego „Népszabadság” i przejścia kilku innych gazet przez bliskich mu oligarchów. Zapowiedział ograniczenie działalności organizacji pozarządowych przez przymusowe ujawnianie źródeł ich finansowania. To przemyślana i dobrze zorganizowana akcja „czyszczenia przedpola” przed wyborami w 2018 r. Rząd nie chce dopuścić do kompromitacji podobnej do tych z ostatniego półroczia. Wtedy społeczeństwo obywatelskie pokazało siłę, obśmiewając i kontrując dwa flagowe projekty Orbána: referendum antymigracyjne i kandydaturę Budapesztu na gospodarza igrzysk olimpijskich w 2024 r.

Prorządowe media przekonują, że demonstrująca od tygodni młodzież (największe protesty zgromadziły ok. 80 tys. osób) to armia George’a Sorosa, założyciela CEU i nemezis Orbána. Jednak CEU okazało się jedynie iskrą, która zapaliła opór wobec całego systemu Orbána: pogardliwego języka władzy, tępej propagandy telewizji, oligarchicznego modelu zarządzania krajem i niejasnych interesów z Rosją. Zdziwiająco ostro zareagowała też administracja Trumpa, czego Orbán się nie spodziewał. Manifestacje odbywają się w najbardziej symbolicznych miejscach Budapesztu, w tym na placu Bohaterów. To właśnie tam 26-letni Orbán wygłosił porywające przemówienie, w którym domagał się ograniczenia wpływów sowieckich. Teraz jego młodzi następcy widzą w nim kontynuatora opresyjnej polityki tych, przeciwko którym sam buntował się w 1989 r.

Za duży, żeby upaść?

Chorwacja boryka się z bankrutującym gigantem.

Kiedy Agrokor ma katar, Chorwacja ma grypę. Ta wyświechtana fraza tu akurat pasuje jak ulał: koncern Agrokor to największa chorwacka prywatna firma, największa sieć dystrybucji na Bałkanach, 60 tys. pracowników, 13 proc. chorwackiego PKB. Teraz stoi nad krawędzią, trwają nerwowe rozmowy rządowe z wierzycielami, którym gigant winien jest według przecieków 6 mld euro. I przestał płacić. Parlament przyjął pospieszenie ustawę o ratowaniu firm w tarapatkach, zwaną już lex Agrokor, ale sytuacja nadal jest podbramkowa. Największymi kredytodawcami giganta są dwa rosyjskie banki: Sberbank i VTB, które – jak głosi wieść – najłatwiej dawały pieniądze, kiedy innym zapaliło się światło ostrzegawcze. Ten pierwszy pożyczyciel 950 mln euro i może dyktować warunki.

Agrokor, przez lata bałkański symbol sukcesu, to Ivica Todorici, nazywany tu powszechnie Gazdą, Szefem. Zaczynał od niczego, jeszcze za Jugosławią hodował kwiaty. Po 1991 r. uczestniczył w głównych prywatyzacjach: kupował ziemię, zakłady rolno-spożywcze, hurtownie, sieci sklepów, a później już wszystko. Przejmował państwowe monopole i zamieniał je w kapitalistyczne. Jakoś zawsze wszystko uchodziło mu na sucho. Ma zamek pod Zagrzebiem i trójkę dzieci współrządzających firmą. Ale chyba przeinwestował, może potknął się na przejściu słoweńskiej sieci Mercator i zderzeniu z niemieckimi dyskontami. Zawsze lubił media, posiadał zresztą sieć dystrybucji prasy, ostatnio go w niej dużo mniej. Za to o nim coraz więcej.

Sport, bezpieczeństwo i pieniądze

UEFA bardziej dba o dochody niż życie piłkarzy.

Ladunki wybuchowe, które we wtorkowy wieczór 11 kwietnia eksplodowały w pobliżu autokaru z piłkarzami Borussia Dortmund, raniły jednego ze sportowców i policjanta. Tym razem, w przeciwieństwie do historii z 2015 r., gdy przed towarzyskim meczem piłkarskim Niemcy-Holandia pojawiło się ostrzeżenie o zagrożeniu terrorystycznym i zawody z miejsca odwołano, ćwierćfinałowy mecz Ligi Mistrzów Borussia-AS Monaco jedynie przełożono o 22 godziny. Nie czekano nawet na efekty pracy organów ścigania. To oczywisty dowód, że otwarte społeczeństwo nie daje się zastraszyć terrorystom, ale równocześnie też potwierdzenie, jak wielka jest dzisiaj potęga komercyjnego sportu, sponsorów i reklamodawców, którzy ustalają terminy.

Trener gospodarzy Thomas Tuchel denerwował się, że o nowej dadce „zdecydowała UEFA w Szwajcarii”. Rywalizacja toczy się o prestiż i olbrzymie pieniądze. Wartość Borussia to 830 mln euro, AS Monaco – 195 mln – wynika z raportu KPMG „The European Elite 2016”. W tych warunkach rolę sił wyższych chce się ograniczyć do minimum. Nie przypadkiem początek przełożonego meczu wyznaczono na 18.45. Dzięki temu płatna telewizja Sky, mająca prawa do transmisji tego spotkania na rynku niemieckim, i publiczna ZDF, pokazująca o 20.45 hitowy pojedynek Bayern-Real, nie weszły sobie, i reklamodawcom, w drogę.

Policjant chroniący stadion Borussia Dortmund przed meczem z AS Monaco



© PAP/DPA



© MAREK SOBČAK

Wędrujący środek Unii

Wśród wszystkich kwestii związanych z Brexitem jest również i ta: gdzie teraz będzie środek Unii? Środek geograficzny Europy trudno wyznaczyć, bo wszystko zależy od przyjętych kryteriów (co do niej należy, a co nie). Spory trwają od lat: my mamy naszą Suchowolę, ale pretendują także Litwa, Estonia, Czechy, Słowacja, Słowenia, Białoruś, a nawet Ukraina. Natomiast wyznaczaniem środka Wspólnoty zajmuje się skrupulatnie i naukowo francuski Narodowy Instytut Geografii (IGN). Ów środek w znamienny sposób wędrował po mapie. Pierwsza Wspólnota, 6 państw, jeszcze z niepołączonymi Niemcami, miała swoje centrum koło francuskiego Besançon, następnie (12 państw) przeniósł się on do Saint-André-le Coq w Owerni, a po reunifikacji – dalej na wschód, do St-Clement. Przy 15 członkach powędrował do Belgii, do Viroinval.

Nasza akcesja w 2004 r., wraz z 9 innymi państwami, przesunęła środek Unii do Niemiec – i tam już pozostał na trwałe. Również w sensie politycznym. Z Kleinmaischeid w Nadrenii-Palatynacie, po przyjęciu Rumunii i Bułgarii, trafił do Geinhausen w Hestii, a wraz z Chorwacją w UE przeniósł się do Westerngrund w północno-zachodniej Bawarii (40 km od Frankfurtu, siedziby Europejskiego Banku Centralnego). Tam uczczono go parkiem tematycznym z 28 flagami oraz pojemnikami z ziemią z wszystkich państw członkowskich. Stał się lokalną atrakcją turystyczną.

Teraz sympatyczna bawarska miejscina powoli żegna się ze swą rolą, na rzecz Gädheim, również w Bawarii, ale bardziej na wschód. Ta mała wiejska dziura jeszcze nie poczyniła żadnych przygotowań. Bo na jak długo przejmie pałeczkę?

Mierzą w Koptów

Patriarcha Kościoła koptyjskiego uniknął śmierci w krwawym zamachu.

W dwóch samobójczych zamachach bombowych w Egipcie zginęło ponad 40 chrześcijan należących do Kościoła koptyjskiego, niezależnego od Rzymu i Konstantynopola. Ponad sto osób odniosło rany, zginęło także trzech funkcjonariuszy ochrony, muzułmanów.

Patriarcha Tawadros II, zwierzchnik tego Kościoła, nazywany potocznie koptyjskim papieżem, sprawował w momencie zamachu wielkanocną liturgię w świątyni w Aleksandrii, ale nic mu się nie stało. Do zamachów przyznała się egipska odnoga tzw. Państwa Islamskiego. Papież Franciszek potępił ataki na Koptów i przekazał kondolencje Tawadrosowi. Watykan zapewnił, że planowana na koniec kwietnia wizyta Franciszka w Egipcie nie zostanie przesunięta na później. Kondolencje i wyrazy solidar-



© GETTY IMAGES

ności przekazali m.in. kanclerz Merkel i prezydent Trump (amerykańską Koptyjką jest jego doradczyni do spraw bezpieczeństwa narodowego Dina Powell; Koptem był sekretarz generalny ONZ Boutros Boutros-Ghali).

Koptowie są jedną z najstarszych wspólnot chrześcijańskich w Afryce Północnej. Według ich tradycji założycielem Kościoła był apostoł św. Marek. Stanowią 10 proc. społeczeństwa egipskiego i uważają się za odrębną grupę etniczną. Największe poza Egiptem skupisko Koptów znajduje się w USA. Tamtejsi Koptowie wspierają swych współwyznawców moralnie i materialnie. Kościół koptyjski poparł trzymiesięczny stan wyjątkowy wprowadzony przez prezydenta Egiptu w reakcji na wielkanocne zamachy.

Rosnie napięcie na Bliskim Wschodzie – s. 42.

Zimna wojna w PiS

Zmuszony do odejścia z PiS **Bartłomiej Misiewicz** to symbol buty i nepotyzmu obecnej władzy. Ta zawrotna kariera nie byłaby możliwa, gdyby nie protekcja Antoniego Macierewicza. I choć wobec samego ministra nie wyciągnięto konsekwencji, jego pozycja została mocno podważona. Czy upokorzenie szefa MON to początek długiej „wojny na górze”?



Prezes Kaczyński cierpliwie znosił „ekstrawagancję” Antoniego Macierewicza, których uosobieniem był pulchny 27-latek z podwarszawskich Łomianek, bez wyższego wykształcenia i choćby minimalnego doświadczenia współmiejnogo do przyznanych mu uprawnień (POLITYKA 5). Zawrotna kariera pisowskiego Dyzmy raziała nawet polityków partii rządzącej i w jawny sposób negowała mit „dobrej zmiany”. Okresowo ukrywany, z przytupem powracał po kilku miesiącach i unaoczniał pozycję ministra Macierewicza, którego decyzje wydawały się nie do ruszenia, nawet przez prezesa PiS. – *W sprawie z Misiewiczem zaczęły się pojawiać najbardziej karkołomne hipotezy. Jedną z nich mówiła o związkach, takich męsko-męskich, druga o jakichś kwitach, hakach, trzecia – według mnie najbardziej prawdopodobna – że to problem charakteru. To miłość własna Macierewicza powodowała, że za wszelką cenę próbował demonstrować, ile znaczy i że nikomu nie ulega* – twierdzi nasz rozmówca z klubu PiS.

Kaczyński kilkakrotnie dawał Macierewiczowi szanse, aby sam rozwiązał sprawę swojego protegowanego, i nie krył przy tym, co sądzi o awansowaniu niedawnego pomocnika aptekarza na tak eksponowane stanowiska w MON. Jednak Macierewicz ostentacyjnie to ignorował. Aż prezes PiS w końcu powiedział: dość. I postanowił pokazać ministrowi obrony jego miejsce w szeregu.

Konferencja, na której Jarosław Kaczyński poinformował o zawieszeniu Misiewicza w prawach członka partii, miała tak naprawdę jednego adresata – szefa MON i jednocześnie wiceprezesa PiS. Nie bez przyczyny prezes wspominał o swoich statutowych uprawnieniach, które dają mu możliwość podejmowania takich decyzji w okresie między posiedzeniami komitetu politycznego partii. Również skład komisji powołanej do wyjaśnienia sprawy awansów Misiewicza nie pozostawiał złudzeń. Joachim Brudziński, Mariusz Kamiński, Marek Suski i Karol Karski to pretorianie prezesa, „pluton egzekucyjny” – jak mówią niektórzy. Już następnego dnia odstrzelili Misiewicza. To pierwsze ostrzeżenie dla Antoniego Macierewicza.

PROŚBY Sprawę trzeba było rozstrzygnąć szybko, bo Wielkanoc za pasem, a władza nie mogła sobie pozwolić, aby przy świątecznym stole suweren dyskutował o ogromnej pensji dla pupila ministra. – *To miało być załatwione inaczej, ale się nie udało* – mówi poirytowany jeden z najważniejszych polityków PiS. Dodaje, że prezes działa w myśl ewangelicznej zasady: „Gdy brat twój zgrzeszy przeciw tobie, idź i upomnij go w cztery oczy”, a jak to nie zadziała, to upomnij go przy świadkach, jeśli i tych nie usłucha, donieś Kościołowi. – *I tak właśnie prezes najpierw prosił w cztery oczy, potem wysyłał publicznie sygnały ostrzegawcze. A Antoni Macierewicz obiecywał, że zajmie się sprawą, że będzie przeczadowolony. Aż wreszcie Jarosław zdecydował się na krok ostateczny* – relacjonuje polityk PiS.

Ostatni „powrót Misiewicza” nastąpił szybciej, niż ktokolwiek się spodziewał. W poniedziałek, kiedy pisowcy obchodzili rocznicę katastrofy smoleńskiej, wyszło na jaw, że Misiewicz, wciąż jeszcze pełniący obowiązki szefa gabinetu politycznego szefa MON, został pełnomocnikiem zarządu PGZ do spraw komunikacji. Wiadomo, że skierował go tam resort obrony. We wtorek rano szef komitetu wykonawczego PiS, pierwszy wiceprezes Joachim Brudziński, wziął jeszcze Misiewicza w obronę. „Jakby przeanalizować sukces zdolności wypromowania nazwiska Misiewicza, to Bartłomiej Misiewicz przejdzie do historii europejskiego PR”

– mówił w TVN24. I dodawał, że „nie jest zwolennikiem tego, żeby wyrzucić na zbity pysk, wszystko wskazuje na to, że zdolnego, młodego człowieka”.

Ale do wieczora sytuacja zmieniła się diametralnie: „Fakt” ujawnił, że Misiewicz wylądował w PGZ z pensją 50 tys. zł. – *Prezes oszalał, wypuścił z ręki marchewkę i został mu tylko kij, którym postanowił pogonić Misiewicza i tym samym kijem schłostać Macierewicza* – mówi jeden z polityków PiS. Dodaje, że kto zna Kaczyńskiego, ten wie, że na sprawy zarobkowe jest szczególnie wyczulony, osobiście i wizerunkowo. Jemu samemu niewiele potrzeba, uważa, że sporo zarabia, i potrafi się tym podzielić. Działacz z Nowogrodzkiej opowiada, że Kaczyński kiedyś oddał potrzebującą kobiecie część swojej poselskiej pensji, a innym razem, aby kogoś poratować, wyjął z kieszeni kilkaset złotych. Był zbulwersowany informacjami o pensji młodego protegowanego Macierewicza. I choć podobno nie było to aż 50 tys. zł, to jednak kwota miała być na tyle wysoka, że partia postanowiła jej nie ujawniać. – *Prezes wiedział też, że nasz elektorat naprawdę wkurzy się na tę pensję Misiewicza; to był wielki, mierzalny konkret* – słyszał w PiS. I było to równie ważne jak poczucie Kaczyńskiego, że Macierewicz robi, co chce.

GROŹBY – *Prezes był zdeterminowany, aby załatwić Misiewicza przed świętami. Plan A polegał na tym, że Misiewicz pod naporem komisji sam odda legitymację partyjną. I tak się stało* – opowiada polityk bliski prezesowi. Czy był jeszcze plan B? – *Tak, jeśli nie odszedłby dobrowolnie, prezes był gotów zarządzić pilne posiedzenie komitetu politycznego, jeszcze przed świętami, i przegłosować wyrzucenie protegowanego Macierewicza*.

O ile zgodnie ze statutem prezes PiS sam może zawiesić kogoś w prawach członka partii, to już usunięcie z partii musi przegłosować 34-osobowy komitet polityczny. – *To był Wielki Czwartek, ale komitet był już w gotowości, aby zjechać na Nowogrodzką* – mówi jeden z jego członków. Kaczyński był spokojny o wynik głosowania, ale chciał załatwić sprawę szybszą ścieżką, miał dość tego spektaklu.

W miniony czwartek o 11 w salce na drugim piętrze w siedzibie PiS, nad gabinetem prezesa, stał się Misiewicz, a godzinę później – Macierewicz, i to bez zwyczajowego już spóźnienia, co odnotowano w partii. Kaczyńskiemu zależało, aby kamery zarejestrowały Macierewicza, który tłumaczy się przed partyjną komisją. – *To było trochę działanie terapeutyczne dla prezesa, miało też wstrząsnąć Macierewiczem i pokazać, że nie jest żadnym nadprezsem* – mówi polityk PiS. Choć Kaczyński był w tym czasie na Nowogrodzkiej, nie spotkał się z przesłuchiwanym ministrem. Jeden z najważniejszych polityków PiS zwraca uwagę, że w komisji siedział Mariusz Kamiński, koordynator służb specjalnych: – *I właśnie to, co on przyniósł ze sobą na posiedzenie, zaważyło o tym, że Misiewicz zdecydował się oddać legitymację. Nie było to żadne honorowe pożegnanie, tylko odejście ze strachu przed ujawnieniem pewnych nieopisanych przez media faktów. To nic przestępczego, ale proszę mi wierzyć na słowo, że miałyby się czego wstydzić*.

SZCZUCIE W akcję odstrzelenia Misiewicza zaangażowano też rządowe media. Jeszcze w środę na Woronicza, do Jacka Kurskiego, poszła dyspozycja, żeby szykował do „Wiadomości” materiał o Misiewicz. Zaraz po informacji o pomnikach smoleńskich i dobrych wiadomościach gospodarczych widzowie usłyszeli o „twardej decyzji prezesa PiS”, którego cierpliwość się skończyła. Przypomniano słowa Kaczyńskiego o tym, że „do władzy nie idzie się dla pieniędzy”. A jeszcze we wrześniu ub.r. ►